

Stanisław Mikke

Prywatne i zinstytucjonalizowane

Palestra 37/9-10(429-430), 66-68

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Prywatne i zinstytucjonalizowane

Żyliśmy, w każdym razie wielu z nas żyło, w naiwnym przeświadczeniu, że z chwilą upadku, obrzydanego nam konsekwentnie przez siebie samego systemu, wreszcie odetchniemy. Że może nie będziemy od razu krajem miodem i mlekiem płynącym, ale najdotkliwsze, najbardziej irytujące uciążliwości życia raz na zawsze znikną, a słowa poety: *I szczerą wściekłość opromienia moje codzienne obowiązki ...*, będą jedynie mottem minionego czasu.

Wiem, niejeden, zwłaszcza dziś, po upływie czterech lat od tamtego czerwca, powie, że wychodzę z błędnej przesłanki o końcu pewnej epoki.

Przymknijmy jednak na chwilę oczy na tę kwestię, dla niektórych oczywistą, dla innych absurdalną. Mam wszak nadzieję, iż zgodzimy się wszyscy na to, że miało być inaczej. Niemal we wszystkich dziedzinach. Oczami wyobraźni widzieliśmy na przykład tych mądrych, uczciwych i kulturalnych – bo przecież naszych, ministrów i urzędników oraz mój Boże, sprawnie działające sądy. A w snach na jawie chodziliśmy równymi chodnikami, łączyliśmy się telefo-

nicznie bez trudu i pomyłek nie tylko z Krakowem czy Paryżem, ale z Mokotowem na Ochotę i Żoliborz.

Wiele, jeszcze wiele rzeczy przynajmniej mnie się roilo. Tymczasem jak jest, każdy widzi.

Ucieczka w góry raz lub dwa razy w roku zawsze była dla mnie wielką przyjemnością. Teraz zaś stanowi przyjemność szczególną. Nie oglądam wówczas telewizji, nie czytam gazet. Cóż za ulga, jaka błogość i jaki spokój ogarnia człowieka. Serdecznie zachęcam do takiej oczyszczającej diety informacyjnej. I marszu w góry. Już na wysokości około tysiąca metrów powyżej poziomu morza prawie stuprocentowa gwarancja zapomnienia na jakiś czas o rzeczywistości rozczarowań.

Przeżyłem takie kojące chwile, mimo niesprzyjającej pogody, w pierwszej połowie tego lata. W wyjątkowo dobrym nastroju, w przekonaniu (uwaga! – zgrzytnie banał), że świat jest piękny, schodziłem z Przełęczy Krzyżne ku Dolinie Pięciu Stawów, a samopoczucie poprawiało towarzystwo spotkanej uroczej wegetarianki, samotnie prze-

mierzającej Orlą Perc. Ale niedługo trzeba było czekać na ostre zderzenie z naszą cywilizacją. Schronisko w Dolinie Pięciu Stawów, jedyne w Polsce, prawdziwie wysokogórskie, w sercu, jak się zwykło mawiać, Tatr... i już w wejściu uderza smród wychodka. W jakim stanie jest ów przybytek, lepiej nie opisywać. Ktoś, kto wyszedł stamtąd z grymasem obrzydzenia, wyraził pogląd, że stan tej schroniskowej, bądźmy eleganccy, toalety, nie przekracza, widać, progu tolerancji społeczeństwa. Bo przecież przychodzą tam różni ludzie. Dziennikarze, politycy, lekarze, epidemiolodzy. I inni, mający dziś większy lub mniejszy, ale zawsze jakiś wpływ na to, co się u nas dzieje. Gdyby zatem ten próg odporności został przekroczony, to albo podniósłby się przysłowiowy huk, albo po cichu ktoś podjąłby takie działania, że nawet ród Krzeptowskich, prowadzący to schronisko, musiałby ulec i rzecz doprowadzić do ludzkiego standardu.

To smutna konstatacja. Nie ostatnia, jaką przywiozłem z urlopu. Powrót pociągiem ekspresowym „Tatry” 28 lipca br. (ten szczegół i dalsze na wypadek, gdyby „Palestra” wpadła w ręce odpowiedzialnemu pracownikowi Ministerstwa Komunikacji lub Dyrekcji PKP) dostarczył bowiem wręcz niezapomnianych wrażeń, które przypominały o innych zjawiskach. Na dworcu w Zakopanem poinformowano podróżnych, że odjazd nastąpi z Poronina. No, to jeszcze nic strasznego. Dwa autobusy w miarę sprawnie przewiozły wszystkich *na małą stację w wiosce Poronin, gdzie pociąg stanął wśród zgrzytu szyn.* (Może niektórzy pamiętają jeszcze ten wierszyk ku czci Lenina).

Brudny wagon też był w końcu do przeżycia. Kierownik pociągu przez radio przekazał informację o „planych” przyjazdach. Ani słowa przeproszenia za niedogodności. Pal licha! Jedziemy, to najważniejsze. Prawdziwe atrakcje czekały nas dopiero na stacji Kraków Główny. Oto do wagonu numer 2, objętym, jak wszystkie pozostałe, rezerwacją, wkroczyli policjanci z pałkami w rękach i w obecności konduktorów pociągu grzecznie, acz stanowczo, zażądali błyskawicznego (w czasie dwuminutowego postoju) przemieszczenia się do innych wagonów, albowiem miejsca w tym wagonie zajmą kibice warszawskiej Legii wracający z meczu z Hutnikiem Kraków. Wyjrzałem przez okno. Na peronie grupa wyrostków na granicy rozjuszenia, w szczelnym policyjnym kordonie, szykowała się do wsiadania.

Pasażerowie z trudem opanowywaną paniką, rzucili się do pakowania. Ścisk, krzyk, płacz małych dzieci. Kilka kolejnych wagonów zatłoczonych. Zająłem pierwsze napotkane wolne miejsce w wagonie I klasy. Zrobili to i inni. I teraz dopiero ostatnia odsłona... Po kilkunastu minutach, gdy pociąg wjechał na Centralną Magistralę Kolejową, i było już wiadomo, że do Warszawy nikt nie wsiądzie, pojawił się kierownik pociągu. Zażądał od tych, którzy musieli się przenieść, opuszczenia miejsc w I klasie i przejścia trzy lub cztery wagony dalej, bo „tam w klasie drugiej są jeszcze pojedyncze wolne miejsca”.

Pasażerowie zgodnie oświadczyli, że możliwość kolejnego przechodzenia z bagażami wykluczają. Pan kierownik skwitował to stwierdzeniem, że poleci

pobrać konduktorowi dodatkowe opłaty za zmianę klasy. Na moje i innych oburzenie odparł, że on zna prawo. Zawarliśmy bowiem my, pasażerowie, umowę z PKP na określonych warunkach, a w tej chwili właśnie on, jako przedstawiciel PKP, stwierdza jej, przez nas, nieprzestrzeganie. Przyczyny takiej sytuacji jego nie muszą i nie będą obchodzić.

Jednym po takich argumentach opadają ręce, innym nóż się w kieszeni otwiera. Moich emocji z tamtej chwili nie ujawnię. I tylko dodam, że nieustępliwa postawa pasażerów, a w końcu gromki wybuch śmiechu w reakcji na filozofię zaprezentowaną przez kierownika pociągu, stojącego twardo na gruncie „legalizmu”, spowodowały, że odstąpił w końcu od swego zamiaru pobrania dodatkowych opłat. Rzecz jasna nie znalazł słowa: przepraszam. Kwadrans później zobaczyliśmy, jak wracał z bufetu „Wars” z puszką piwa w ręku, zapewne lekarstwem na nad-szarpięte nerwy. Ale to jeszcze nie koniec historii z pociągu. Naprzeciwko mnie zajmował miejsce nieco przesadnie odżywiony, około czterdziestoletni, zagraniczny jegomość z długim kucy-

kiem. Biała koszula, krawat, złota spinaka i także ciężka bransoleta zegarka. Przed otwarciem butelki z wodą mineralną, włożył sobie papierową serwetkę za kołnierzyk. A po chwili, nie mogąc sobie poradzić z nogami, oparł jedną (naprawdę nie przejawiam) na mojej podstawce przy oknie, gdzie położyłem książkę. Odczekawszy dobrą chwilę i upewniwszy się, że to nie przypadek, mimowolny jakiś odruch, zwróciłem mu uwagę. W odpowiedzi wy dobył z siebie tylko coś, co zabrzmiało jak „oł”, i później kontrolował już swoje nogi.

Dlaczego w ogóle o tym ostatnim, bzdurnym przecie incydencie, wspominałem. Bo obcokrajowiec z butem to przykład na (choć doprasza się tu inne słowo, użyjmy zastępczego) arogancję prywatną, w wydaniu zaś kierownika pociągu ekspresowego na arogancję zinstytucjonalizowaną, jeśli tak można powiedzieć, i na dodatek szukającą usprawiedliwienia w prawie. Ta ostatnia rozpowszechnia się u nas z intensywnością zarazy. Myślę, że jeśli ktoś wynajdzie skuteczną przeciw temu szczepionkę, może liczyć na znaczącą nagrodę.